

Janowski, Maciej

Poza sporami o pamięć narodową : (45. Zjazd Historyków Niemieckich, Kilonia, 14 - 17 września 2004)

Przegląd Historyczny 96/3, 481-485

2005

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

P R E Z E N T A C J E

MACIEJ JANOWSKI
Polska Akademia Nauk
Instytut Historii

Poza sporami o pamięć narodową

(45. Zjazd Historyków Niemieckich, Kilonia, 14–17 września 2004)

Polski czytelnik zainteresowany niemieckim życiem umysłowym, a do tego pamiętający jeszcze wielki *Historikerstreit* sprzed kilkunastu lat, mógłby wyobrazić sobie, że historycy niemieccy na swoim zjeździe zajmować się będą problemami niemieckiej samoświadomości, rozrachunkami z przeszłością i w ogóle leczeniem niemieckiej duszy zbiorowej. Ja w każdym razie tak przypuszczałem. Omyliłem się.

Nie przepadam za wielkimi kongresami, z ich zgiełkiem, bieganiną i rozproszoną tematyką, ale niemiecki Zjazd Historyków naprawdę wart był zobaczenia i wart jest krótkiego sprawozdania, tym bardziej że polskich historyków było na nim niestety bardzo mało — ze względu na fatalną zbieżność dat z krakowskim zjazdem historyków polskich. Szkoda, bo sprawy polskie i bałtyckie były szeroko reprezentowane w tematyce wielu sesji.

Najsilniejszym polskim akcentem był uroczysty wieczór w kilońskiej operze w czwartek 16 września wieczorem. Orkiestra odegrała uwerturę akademicką Brahmsa, profesor Manfred H i l d e r m e i e r wręczał nagrody niemieckiego stowarzyszenia historyków dla autorów najlepszych doktoratów i habilitacji, a potem na scenę wszedł Tadeusz M a z o w i e c k i. Wygłosił wykład o historycznym znaczeniu roku 1989. Przypomnił rolę Polski w zjednoczeniu Niemiec i wielką drogę ku polsko–niemieckiemu pojednaniu, a zakończył przestrogą przed zaprzepaszczeniem tego pojednania oraz podkreślił znaczenie pracy historyków dla zbliżenia między narodami. Sala zgotowała mu owację na stojąco; jeśli wolno przekazać osobiste wrażenie, muszę przyznać, że byłem bardzo wzruszony.

Zacząło się jednak dwa dni wcześniej, we wtorek 14 września 2004, o szóstej wieczorem. Audytorium Maximum uniwersytetu w Kilonii, w surowym modernistycznym stylu lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, przypomina niektóre co bardziej nowoczesne kościoły. Jest chyba niewiele mniejsze od wrocławskiej Hali Ludowej, w której rozpoczął swe obrady pięć lat temu polski zjazd historyków. Na kilkupiętrowej widowni zebrało się chyba ze trzy tysiące historyków obojga płci, różnego wieku i specjalności; estrada podświetlona czerwonym półświatłem, w którego blasku kwiaty ustawione w wielkich doniczkach wyglądają zupełnie jak sztuczne; kwartet dęty odgrywa jakąś podniosłą melodię (czy to hymn niemieckich historyków? — trochę żartem a trochę poważnie pytam mojego sąsiada. Śmieje się i zaprzecza). Profesor Manfred Hildermeier z Uniwersytetu w Getyndze, przewodniczący Stowarzyszenia Historyków i Historyczek Niemieckich (tak brzmi

oficjalna nazwa: Verband der Historikern und Historikerinnen Deutschlands), otwiera zjazd krótkim dziesięciminutowym powitaniem. Stoi przy mównicy, a nad nim rozpięty jest olbrzymi telebim, ukazujący z bezlitosną dokładnością każdy gest i każdy wyraz twarzy. Wita zgromadzonych, przypomina temat zjazdu — przestrzeń i komunikacja społeczna — i pozdrawia szczególnie dostojnych gości. Przypomina też, że po raz pierwszy w historii niemieckich zjazdów historyków wybrano „region partnerski” zjazdu — Polskę i kraje bałtyckie.

Każdy dzień zaczyna się nabożeństwem ekumenicznym (8.15–8.45) w kościele uniwersyteckim (jedyne kościoły uniwersyteckie w Niemczech, wybudowane po drugiej wojnie światowej — czytam w ulotce). Uczestniczy w nim około 30 osób, potem obrady — z przerwą obiadową — trwają do wieczora.

Pierwsze wrażenie ze zjazdu to doskonała organizacja. Nie chodzi tylko o ogólną sprawność i porządek przy rejestracji i w stołówce. Zjazd ma jasną koncepcję, jego program jest solidnie przemyślany, a temat nie jest tylko pustym hasłem (jak często na naszych zjazdach historyków); większość sesji i referatów naprawdę jest z nim blisko związana. Sesje na ogół (z wyjątkami) trzymają się swego czasowego schematu. Ponieważ (inaczej niż na naszym zjeździe wrocławskim) wszystko odbywa się w jednym kampusie, w kilku budynkach położonych tuż koło siebie, można „przeskakiwać” z sesji na sesję. Można — ale nie warto, ponieważ sesje nie są zbiorem przypadkowych referatów, lecz stanowią spójną całość, więc wyjść podczas pauzy to tak jakby przerwać w połowie lekturę ciekawej książki.

Drugie wrażenie to technika: ekrany w każdym pomieszczeniu i prezentacje z pomocą laptopów, towarzyszące każdemu wykładowi. Do tego dochodzi niespotykana chyba u nas wśród historyków technika prezentacji. Doktoranci przedstawiali swe prace w formie plakatów i nigdy nie myślałem, że plakat tak doskonale się nadaje do syntetycznego przedstawienia badań historycznych. Młodzi ludzie za pomocą kolażu zdjęć, wykresów i schematów w atrakcyjny graficznie sposób umieszczonych na dużych planszach, potrafili przekazać główne tezy przygotowywanych prac.

Trzecie wrażenie — młodość. Z niewielką przesadą powiedzieć można, że zjazd niemieckich historyków jest zjazdem trzydziestolatków. Mam po raz pierwszy w życiu zabawne odczucie, że w zaawansowanym wieku 41 lat należę już raczej do starszych niż młodszych uczestników. Wielkich sław niemieckiej historiografii, profesorów starszej generacji niemal na zjeździe nie widać — w każdym razie na sesjach, w których uczestniczyłem, niemal wszyscy referenci byli młodszy ode mnie.

Czwarte wrażenie — kompetencja. Nie ma referatów złych ani średnich, są dobre (rzadko) i bardzo dobre (na ogół). Ci młodzi ludzie nie tylko panują nad badanymi przez siebie tematami, mają też niespotykaną u większości naszych historyków świadomość metodologiczną. Przybysz z Polski może początkowo pomyśleć, że postmodernistyczny żargon jest jedynie pretensjonalnym sztafażem, a przejęcie kilku modnych fraz nie wpływa na treści pracy. Nie jest tak: świadomość metodologiczna daje nawet najbardziej przyczynkarskim pracom szerszy oddech. Niemieccy historycy na ogół umieją przekonać czytelnika, że podjęty przez nich wąski temat ważny jest dla zrozumienia szerszych zjawisk.

Nad czym radzono? Zjazd obejmował 60 sesji, ponad 300 referatów, z tego wysłuchałem około dwudziestu, ale może nawet tak mały wycinek (w połączeniu z kularowymi rozmowami) daje wyobrażenie o kierunkach zainteresowania niemieckiej historiografii. Rzuca się w oczy niemal zupełny brak historii wydarzeniowej, politycznej, a także rzad-

kość odniesień do debat historycznych toczonych poza środowiskiem zawodowych historyków. Czytelnik prasy w Polsce informowany jest na bieżąco o niemieckich sporach o pamięć, o „przeszłości, która nie chce przejść”, o niemieckich próbach określenia narodowej i historycznej tożsamości. Byłoby może przesadą twierdzić, że ta problematyka jest na zjeździe nieobecna, niemniej jednak na pewno nie ona dominuje.

Nie chodzi tu chyba o pożałowania godne izolowanie się akademików od problemów ważnych społecznie, o owo zamykanie się w wieży z kości słoniowej, o które tak często oskarżano niegdyś niemiecką naukę. Po prostu debaty te dla młodego pokolenia historyków mogą się wydawać nieciekawe. A raczej: ciekawe jako przedmiot badania, ale nie jako coś, w czym się samemu uczestniczy. Młodzi ludzie interesują się głównie nurtem metod (i mód) historycznych i chcą zajmować się tym, czym ich koledzy we Francji i krajach anglosaskich. Jeśli tematyka świadomości narodowej jest obecna, to tylko jako przedmiot naukowej analizy, z pewnym (chwilami dla Polaka irytującym) zacięciem demaskatorskim, wynikającym ze świadomego stawiania się „na zewnątrz” badanej problematyki. W Niemczech o wiele częściej niż u nas bada się problemy narodu w ujęciu porównawczym — to bardzo pomaga oderwać się od własnych stereotypów. W efekcie referenci unikają jakiegokolwiek aktualizacji czy wskazań na przyszłość.

Zainteresowanie uczestników zjazdu kierowało się ku — bardzo szeroko pojętej — historii kultury. Tak np. sesja, na której wygłaszałem komentarz, poświęcona była pograniczu niemiecko-francuskiemu, z ekskursami porównawczymi w stronę pogranicza polsko-niemieckiego („Grenzen: Räume, Erfahrungen, Konstruktionen, 17–20 Jahrhundert”, organizatorzy: Etienne François i Bernhard Struck). Jedną z referentek (Morganne Labbé z Paryża) pokazała, jak w XIX w. uczeni kartografowie zaczęli sporządzać mapy lingwistyczno-etnograficzne, przedstawiające rozmieszczenie różnych języków na pograniczach Niemiec, i jakie polityczne konsekwencje miała ta naukowa działalność. Dzieje kartografii, wydawałoby się niesłychanie specjalistyczna subdyscyplina dla pedantów i kolekcjonerów, stają się ostatnio coraz modniejsze: okazuje się, że stanowią doskonale zwierciadło, odbijające prądy w kulturze, a także tendencje polityczne. Tematyka ta była obecna także i na innych sesjach.

Charakterystyczna dla zainteresowania niemieckich historyków problemami metodologicznymi była sesja poświęcona transferowi pojęć („Gestörte Kommunikation: Begriffstransfer zwischen Ost und West”, organizator: Jörg Baberowski). Chodzi o to, jak te same słowa używane w różnych kontekstach kulturowych mogą zmieniać znaczenie, i jakie niebezpieczeństwa grożą historykowi, który stara się stosować do badania dziejów jakiegoś regionu narzędzia analityczne wypracowane przez badaczy zupełnie innych regionów i epok. Tutaj z kolei jedną z referentek (Richarda Vulpis z Berlina) w żywej i pełnej polemicznego zacięcia prezentacji skrytykowała paradygmat łączący modernizację z sekularyzacją: stwierdziła, że nie odnosi się on do wschodniej Europy i na przykładzie galicyjskich Ukraińców przedstawiła ogromną rolę kościoła greckokatolickiego właśnie przy modernizacji wsi galicyjskiej.

Tematyka niektórych innych sesji mogła nasuwać bardziej współczesne skojarzenia. Jedną z nich np. poświęcono roli historyków w uzasadnianiu terytorialnych roszczeń ich państw do spornych regionów („Historische Rechte« — Historiker und die Begründung von Gebietsansprüchen im östlichen Mitteleuropa”, organizator: Jörg Hackmann), inna zaś temu, w jaki sposób pamięć o jakimś terytorium (często utraconym bądź zagrożonym, ale nie jest to regułą) przerasta w mit („Mythos und Raum. Identitätsbildung- und Legitimationsstrategien am Beispiel ausgewählter ostmitteleuropaei-

schen Grenzregionen”, organizator: Heidi H e i n). W obu sprawy polskie odgrywały istotną rolę, wygłaszano bardzo interesujące referaty o micie Kresów w kulturze polskiej (Werner B e n e c k e), o polskiej koncepcji *antemurale christianitatis* (Heidi Hein) i o dziejach sporów historyków polskich i niemieckich (Błażej B i a ł k o w s k i). Warto też wspomnieć o referacie Dariusza S t a l i u n a s a z Wilna, dotyczącym litewskiego ruchu narodowego w XIX w. i stosunku doń uczonych rosyjskich.

Nie warto przepisywać tutaj programu zjazdu, który łatwo znaleźć w Internecie. Ważniejsze jest kilka wniosków, które nasuwały mi się, gdy siedziałem w salach kilońskiego uniwersytetu.

Po pierwsze: nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że historia Polski stała się dyscypliną międzynarodową. Jeszcze kilkanaście lat temu polski historyk zajmujący się historią ojczyzny nie musiał śledzić obcojęzycznej literatury przedmiotu. Dziś to się zmieniło, Polska historiografia nie ma już monopolu na badanie polskich dziejów, i nasze — zdawałoby się oczywiste — interpretacje coraz częściej są kwestionowane. Nie ma żadnego powodu, dla którego interpretacje historii Polski dokonywane przez polskich historyków miałyby być lepsze niż dokonywane przez cudzoziemców. Nasza historiografia musi się z tym liczyć.

Po drugie, polski historyk napotyka wśród niemieckich koleżanek i kolegów na partnerów życzliwych i kompetentnych, od których może się wiele nauczyć. Owa życzliwość połączona jest jednak ze spojrzeniem z zewnątrz i z oczekiwaniem, że będziemy to spojrzenie traktować poważnie. Pisze się często z ubolewaniem o niemieckiej ignorancji w sprawach polskich: nie dotyczy to historyków.

Po trzecie, zagrożenie dla dobrych kontaktów polskich i niemieckich historyków nie leży już — tak mi się zdaje — w różnicach zdań wynikających z kwestii politycznych lub rywalizacji narodowej. Emocje polityczne mogą zatruwać klimat stosunków międzynarodowych, ale historycy są społecznością tak kosmopolityczną i niechętną wobec wszelkich szowinizmów, że w przewidywalnej perspektywie nie grozi nam powrót do sporów narodo-wo-ambicjonalnych według niesławnych wzorców z czasów międzywojennych czy XIX w. Emocjonalne spory o charakter stosunków polsko-niemieckich historycy po obu stronach pozostawili już chyba na dobre niektórym dziennikarzom i niektórym politykom.

Zagrożenie istnieje jednak i leży głębiej niż polityka. Wspomniałem już, że zainteresowanie problemami metodologicznymi, szerokie czytanie w najnowszych dziełach z filozofii historii i w ogóle humanistyki, jest cechą charakterystyczną historyków niemieckich, z którymi miałem okazję się stykać. Tymczasem w Polsce historycy „praktyczni” z reguły nie interesują się metodologią, a niewielka grupa metodologów historii pisze sobie a muzom teksty tak hermetyczne, że nikt poza zawodowymi filozofami historii nie potrafi ich zrozumieć. Jeśli chodzi o ignorancję metodologiczną, piszący te słowa czuje się najzupełniej typowym przedstawicielem polskiej historiografii: nigdy tak boleśnie nie odczuwam swojej niewiedzy, jak podczas rozmów z zagranicznymi kolegami. Na wspomnianej wyżej sesji poświęconej transferowi pojęć miałem chwilami niesłychanie irytujące wrażenie, że rozumiem każde słowo, a myśl nie składa mi się w całość — nie dlatego, że myśli tam nie ma, lecz dlatego, że moje czytanie filozoficzne jest zbyt małe.

Można oczywiście łatwo zrozumieć brak zainteresowań teoretycznych wśród naszych badaczy — komunistyczny marksizm spowodował alergię na problemy historiozoficzne, a otwarcie archiwów po 1989 r. spowodowało, szczególnie u zajmujących się dziejami najnowszych, zwrócenie się ku badaniom empirycznym w celu nadrobienia kilkudziesięcioletnich zaległości. Zrozumieć — ale nigdy usprawiedliwić. Nie jestem specjalnym wielbi-

cielem trendów, które w ostatnim dwudziestoleciu dominują w zachodniej humanistyce. Niemniej jednak językiem wykształconym przez te właśnie trendy mówią dziś zachodni historycy, czy nam się to podoba czy nie. Nie musimy koniecznie uczestniczyć w giełdzie pseudonaukowej pretensjonalności, do której upodabniają się niektóre niemieckie wstępy do prac historycznych, musimy jednak rozumieć ich język; inaczej zamkniemy sobie możliwości jakiegokolwiek dyskusji o szerszych problemach (choć nadal będziemy mogli dyskutować z kolegą specjalistą, który zajmuje się tym samym tematem).

Mówiąc o perspektywach naukowych kontaktów polsko–niemieckich dochodzimy do ostatniej kwestii: nie wiem, kto zawinił, ale fakt, że zjazd historyków polskich w Krakowie i zjazd historyków niemieckich w Kilonii odbyły się w tym samym czasie, trudno określić inaczej niż jako prawdziwy skandal. Polacy w Kilonii nie byli wprawdzie nieobecni — wymieńmy choćby referaty Aliny C a ł e j z Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz Jerzego K o c h a n o w s k i e g o z Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie), tym niemniej było ich, zważywszy na problematykę zjazdu, zdecydowanie za mało. Życzliwość i zainteresowanie niemieckich historyków stanowią — szczególnie w dzisiejszej sytuacji, gdy stosunki polsko–niemieckie są, jak wiadomo, takie sobie — szansę zbliżenia (a może nawet pewien kapitał polityczny). Ta szansa na zbliżenie istnieje nadal, ale lekceważąc zjazd kiloński polscy historycy oddalili możliwość jej realizacji. A przecież jest oczywiste, która z obu nauk historycznych ma więcej do zyskania ze wzajemnych kontaktów, i która więcej straci w razie ich braku.